Rozmaitości

Dnia 1. Kwietnia Nr 13. 1837 Roku.

B Ó B.

(Powieść z niemieckiego, p. Czoke.)

Byłem w rozpaczy— tak opowiadał młody bankier Walter w pewném wieczorném posiedzeniu— przez dziewięć tygodni kręciłem się po Wiédniu dla wyśledzenia panny de Tarnau; we wszystkich towarzystwach, przy każdéj sposobności, po wszystkich biórach policyi opisywałem pannę de Tarnau, jéj ciotkę i pokojówkę; a przecież nie znalazłem żadnéj żywéj duszy, któraby mnie uwiadomiła, gdzie się podziały. Na dobrych radach wprawdzie nie zbywało, bo ta rzecz wszędzie zbyt mało kosztuje. Odsyłano mnie na wszystkie cztery części świata, dla wyszukania mojéj bogini.

Chociaż miałem pewność, że jéj w Wiédniu nie było; chociaż mi to wyraźnie w téj saméj oberży, gdzie ona mieszkała, powiedziano, chociażem te same, co przedtém ona, pokoje zamieszkiwał, przecież szukałem jéj bez ustanku. Chodziłem po wszystkich kościołach, po wszystkich redutach, balach, widowiskach i wszystkich rozrywkach, a przecież moje stęsknione serce nie odniosło skutku; moje starania były nadaremne. Moje bóstwo zniknęło!

Stroskany opuściłem Wiédeń i powróciłem w czasie najnieprzyjemniejszéj pory zimowéj do domu. Ażeby was przecież o szczegółach mego losu uwiadomić, muszę tu jeszcze opowiedziéć, jakowym przypadkiem zdarzyło mi się tę pannę poznać. W mojéj powieści znajdziecie wprawdzie wiele rzeczy do zadziwienia, ale nie zapominajcie o tém, że w miłości wszystko jest romansem.

* * *

Przed trzema laty pojechałem był w interesach do Wiédnia. Nasz dom handlowy zagrożony był znaczną stratą przez upadek krajowych papierów. Powiodło mi się to nieszczęście odwrócić; korzystałem ze sposobności, i chciałem użyć wszelkich uciech Wiédnia. »Któż wie« pomyślałem sobie »azali mi kiedy w mojém życiu zdarzy się być jeszcze raz w Wiédniu!"— Moi znajomi brali mnie we wszystkie towarzystwa i zabawy; byłem wprowadzony do wielu znakomitych domów i poznany z niektóremi. Matki przyjmowały mnie z dobrocią, a piękne córki, były równie dla mnie grzecznémi. Wiedziano, żem nie żonaty, a imię i stan domu naszego, nie były rodzicom tajnemi. Uchodziłem wszędzie za bogatego bankiera, i prawie każdy mianował mię panem de Walter.— Z powodu niektórych wybredzeń i urojeń mojego starego, dobrego ojca, nie chciałem nawet ani pomyśléć o ożenieniu, a przeto tém wolniéj przelatywałem od jednéj do drugiéj piękności. Wszystkie były dla mnie miłemi, ale żadnéj kochać nie mogłem i nie chciałem.

Na jednéj z podobnych zabaw, gdzie się znaczne zgromadzenie znajdowało, szepnęła blizko mnie siedząca, już podeszłego wieku dama, drugiéj młodszéj swojéj sąsiadce: »Panny de Tarnau także się tu spodziéwają."

»Jestto dobre i miłe dziecko« odpowiedziała sąsiadka: »onaby wprawdzie za bardzo piękną ujść mogła, gdyby nie miała téj szkaradnéj skazy natury."

»Ach!« odezwała się starsza: »Pani zapewne rozumiész przez to ową brodawkę, którą ma na piersiach, zaraz po niżéj szyi? mówią, że jest podobną do myszy!"

»Do myszy?« przerwała druga: »proszę da-

rować; gdyby nic więcéj nie było, tedyby nie potrzebowała zasłaniać się aż po sam podbródek, niby jakowa zakonnica. I owszém, ta brodawka wygląda zupełnie jakby wielbłąd, z dwoma garbami, cztérema łapami, i bardzo długą szyją."

»Nie wiérz pani temu!« wmieszała się trzecia do téj rozmowy, »mnie ta rzecz dokładnie wiadoma: jestto znamię z urodzenia, osobliwszéj własności i postaci, a wielkości niezmiernéj. Cała pierś jest koloru brudno-kasztanowatego i niby kawowego; a to jeszcze aż pod samę szyję. Uważ tylko pani, na miłość boską! aż pod samę szyję cienkiemi włosy porosła!"

»Ach! to jest rzecz straszna,« odezwała się dama starsza w wieku."—

»Straszna i okropna zarazem!" przydała jedna z dwóch młodszych i w tém spuściła skromnie oczy ku swéj piersi, które cienka, jakby mgła nad śniegiem, pokrywała gaza. »O! gdyby uchowaj Boże mnie to nieszczęście zdarzyło się było, jużbym pewnie nie żyła na świecie."

Wkrótce wmieszały się także i osoby inne do téj zajmującéj pogadanki; każda potwierdzała przytoczoną powieść, a wszystkie ogólnie ubolewały nad panną de Tarnau, z przyczyny nadmienionego nieszczęścia.

W tém otwierają się drzwi. Oczekiwana panna de Tarnau wchodzi ze swoją ciotką. Mimo wrażenia, które na mnie sprawiła wyż spomniona rozmowa o pannie de Tarnau, jakże teraz jéj rzadką pięknością i urokiem zachwycony zostałem! Byłto istny anioł z oczyma pełnémi niewinności i dobroci. Byłto prawdziwy ideał, jaki nam często obrazy *Angieliki Kaufmann* ku zadziwieniu przedstawiają! Byłato.... Ależ się nie śmiéjcie— ja podtenczas nie byłem jeszcze rozkochanym, a teraz jestem już żonaty; a zatém sama szczéra prawda jest w moich ustach.— Jedném słowém, piękna Tarnau podbiła wszystkich mężczyzn oczy i serca; wszyscy zbliżali się do niéj z udziałem słodkiego politowania. Ale gors jéj był mocno i nie do przejrzenia aż pod samę szyję zasłoniony; co też przywodziło zawsze na pamięć jednym mysz, a drugim wielbłąda. »Ach!« pomyślał nie jeden w duchu: dla czegóż los tak był okrutnym i oszpecił w najdotkliwszy sposób to najpowabniejsze pod słońcem stworzenie."— Ja sam, nie przeczę, ja sam toż samo myślałem.

Nie byłem z natury ciekawym, a przecież przez cały wieczór męczyła mnie ta pokusa. Najpiękniejsza pierś była dla mnie obojętną, a teraz najszpetniejsza, najpiękniejszéj panienki, pociągała bez ustanku mój wzrok ku sobie. Oczy moje starały się ustawicznie krążyć po przegubach gęsto ułożonéj krepy; odnawiałem moje poszukiwania prawie co chwila, miałem zawsze sposobność być najbliżéj téj pięknéj nieszczęśliwéj. Wszystko nadaremnie! Nareszcie rozpoczęły się tańce. Już dosyć par stało w kole, ale piękna Tarnau jeszcze nie była zamówiona. Czego też uprzedzenie dokazać nie może!— Prosiłem ją do tańca, zaraz podała mi rękę, i odtąd przez cały wieczór byłem jéj tancerzem. W tańcu mknęła tak leciuchno koło mnie, jakby była jedną z nimf Tytanii; a wszystkie jéj poruszenia, uśmiéch, spojrzenia, słowa, zgoła wszystko, wszystko było tak pełne uroczego wdzięku;— ach, jaka szkoda tego tak doskonałego utworu natury, która swe cudowne dzieło przez nielitościwą chymerę zeszpeciła!— Już późno w noc porozjeżdzali się goście. Piękna nieszczęśliwa całkiem mnie zachwyciła! Była wesołą, bez troski, i spokojną— ach, szczęściem dla niéj, że nie wiedziała o tém, co mnie już i prawie wszystkim było wiadome! Nie byłem wprawdzie tak dalece zagorzalcem, abym się natychmiast w niéj zakochał, pomimo, że była tego aż nadto godna; ale to wyznaję dobrowolnie, iż dotąd żadna mnie kobiéta w tym stopniu nie zajęła, ile panna Tarnau. Jakieś błogie, niepojęte politowanie zamieszkało serce moje, bo też taki anioł godzien był istotnie tego, aby się go użalić choć cokolwiek! Być może, iż byłbym zaraz nazajutrz o niéj zapomniał.... zapomniał?- nie, tego twierdzić nie mogę, ponieważ takie dziwaczne igrzysko natury, gdzie cud piękności razem z brzydotą jest połączony, nie tak łatwo z pamięci wychodzi. Ale gdym drugiego dnia powracając z przechadzki do oberży, szedł w górę po wschodach, zaszła mi drogę niespodzianie schodząca z góry ciotka z panną Tarnau. Naturalnie, musieliśmy się zatrzymać, potém nastąpiły wzajemne pytania, jak się po wczorajszém widzeniu mamy; przytém okazaliśmy nasze zadziwienie, że pod jednym

mieszkając dachem, niceśmy dotąd o sobie niewiedzieli.— Ja z méj strony oświadczyłem radość z tego spotkania się i prosiłem o pozwolenie odwiédzenia dam w czasie przyzwoitym. A w téj samėj chwili spojrzałem ku miejscu owéj nieszczęsnéj brodawki. Ale duży szal, dobrze szpilką pod brodą spięty, okrywał całą pierś i plecy panny de Tarnau, i dla tego wolałem zwrócić moje oczy na twarz jéj cudownie piękną!— Nareszcie damy zeszły na dół, a ja pospieszyłem na górę do mojego pokoju, abym jeszcze z okna mógł się przypatrzyć téj kształtnéj postaci. Damy w téjże chwili wsiadłszy do karéty, odjechały, a ja westchnąłem w duchu: »Ach! wielka szkoda, że ten anioł tak odraźnie zeszpeconym został!«— Nie zaniedbując, co mi pozwolonėm było, odwiedzałem często moje damy, które tu w Wiédniu, równie jak i ja, były obcemi, i tylko przez jeden dom augsburski, zkąd miały wexle, zostały zaleconémi mojemu znajomemu, u którego je poznałem nadmienionego wieczora.— Oprowadzałem moje sąsiadki po Praterze, teatrach, i gdzie tylko było co widzenia godnego. Piękna Józefina— nazywam ją tém imieniem, którém ją ciotka nazywała— piękna Józefina, im bliżéj ją poznawałem, tém więcéj odkrywała pięknych przymiotów serca i umysłu; lecz i to nie uszło mojéj uwagi, że im dłużéj ciągnęła się nasza znajomość, z tém większą przezornością Józefina zakrywała pierś swą, tak nieszczęśliwie oszpeconą!— Józefina była to najdoskonalsza istota płci swojéj, jaką tylko w mém życiu widzieć mogłem!— ale, zupełnie doskonałém, nic pod słońcem być nie może! A jak się prawie codziennie widywaliśmy, tak téż codzień stawaliśmy się poufalszymi, a nakoniec zdawało mi się, jakbym zupełnie do nich należał. Ciotka zaszczycała mnie tą poufałością, jaka się po między podróżującymi łatwo pozyskuje; w postępowaniu zaś Józefiny upatrywałem znaki łagodnéj przyjaźni; a jeźli kiedykolwiek interesa przeszkodziły mi znajdować się u nich o zwykłym czasie, tedy musiałem się nasłuchać wymówek nie mało; wtenczas zaś, kiedy się Józefina bystro, acz w milczeniu we mnie wpatrywała, jakby chciała mnie wskróś przeniknąć i niby zapytać: »Kto ty jesteś?«. ach! natenczas nie pojmowałem, co się ze mną działo!— Cokolwiek późniéj, gdym się z interesami ułatwił, za piérwszém usłyszeniem głosu dzwonka u ich drzwi będącego, wchodziłem do nich bez przeszkody.

Ale ta rozkosz nie długo trwała; odebrałem bowiem list z domu, donoszący, że mój ojciec apoplexyją tknięty, pragnie mnie widzieć. Musiałem spieszyć, jeźli sobie życzyłem uściskać go jeszcze raz na tym świecie.

List przyszedł rano. W pół godziny było wszystko upakowane i pocztowy powóz stał już przed domem. Przestrach i żałość odebrały mi zmysły. Mój służący daje znać, że wszystko jest ułatwione, i że można wsiadać. Podobny do śpiącego zszedłem po wschodach na ulicę, pożegnanie sąsiadek ani mi przez myśl nie przeszło, i już wsiadłem do pojazdu, gdy usłyszałem głos z góry: »Dokądżeto wćpan odjeżdzasz."— Byłto słodki głos Józefiny. Spojrzałem w górę, ona wyglądała oparta na oknie, i powtórzyła pytanie. Wtenczas dopiéro przyszedłem do zmysłów, powróciłem natychmiast do oberży, i pobiegłem po wschodach na piętro, aby przynajmniéj wykonać, co grzeczność i przyjaźń nakazywały. Zapukałem. Drzwi się otwiérają. Józefina jeszcze w swym porannym stroju wychodzi na przeciw mnie; ale w téj samėj chwili okazawszy przelęknienie, zrobiła krok wsteczny.

»Mój Boże!" zawoła: »cóż wćpanu jest? co się mu takowego wydarzyło? Ach! jakżeś wćpan blady i zmieniony!"— Gdy to wymawiała i rękę swoję do ujęcia mojéj wzniosła, jéj kaszmirowy szal, który był tylko wolno zarzucony, odwinął się— a ja— (niech mi to cienie mojego dobrego ojca przebaczą, bo téż ciekawość jest największym grzéchem) zapomniałem zupełnie o podróży, o apoplexyi, o pocztowym powozie, a moje oczy miałem jedynie dla odkrytéj tajemnicy pięknych Józefiny piersi.

Wystawcie sobie moje zadziwienie! ujrzałem pierś białą i czystą, nito kość słoniową, a o dwa cale po niżéj dołku téj alabastrowéj szyi— okrzyczaną brodawkę; lecz to nie była ani mysz, ani wielbłąd, ale tylko ciemna plamka na ciele, wielkości i kształtu zupełnie, jak b ó b. Możnaby pod przysięgą wyznać, że to był b ó b malowany koloru brunatnego, położony na śniegu zachwycającym białością.

Józefina zarumieniona ściągnęła wprawdzie dość prędko swój szal na piersi, ale przecież ja nie byłem w stanie ani słowa przemówić. Czy to apoplexyja, lub też widok bobu był tego przyczyną — prawdziwie nie wiém; dość na tém, żem stał w miejscu jak gdyby skamieniały.

»Na miłość boską!« krzyknęła ciotka: »powiédz nam wćpan, co się stało? i co za nieszczęście wydarzyć się mogło?"

»Mój ojciec tknięty apoplexyją«— odpowiedziałem, »walczy z śmiercią, muszę was panie opuścić." To było wszystko, com mógł w tym razie wymówić. Ucałowałem ręce obiedwóch dam i pożegnałem się. Podczas tego pożegnania Józefina trzymała moję rękę silnie w swojéj przez niejaką chwilę. Jéj twarz zdawała się blednieć, oczy były napełnione łzami — albo też może i niebyły, gdyż ja prawie nic nie widziałem, tak mi wszystko ćmiło się w oczach. Siedząc już w pojeździe zapomniałem o wszystkiém, oprócz niebezpieczeństwa, w którém ojciec mój zostawał. Jechałem dniem i nocą i marzyłem wciąż, jakby w gorączce. Dnie mojéj podróży były najokropniejsze w mém całém życiu. Tylko podczas snu miałem czasem przyjemny widok, gdy Morfej albo febra przedstawiły mi łudnie ciemny bób na śniegu.

Skoro nakoniec przed domem ojca mojego pojazd stanął, wyszli na przeciw mnie niektórzy z krewnych, wszyscy żałobno ubrani. Już się stało! Mój ojciec pożegnał się z tym światem; jego popioły spoczywały już w grobie.— Nie chcę się tu rozwodzić nad gwałtownością mojego żalu i mojéj boleści. Pomimo przywidzeń i mrukliwego humoru ojca mojego, kochałem go zawsze synowską, wdzięczności pełną miłością. Przestrach, żałość i spieszna, niewygodna podróż, wtrąciły mnie w chorobę, wpadłem w wielką gorączkę, a ta była dobrodziejstwem dla mnie; albowiem dała mi o wszystkiém zapomnieć. Przez całą ćwierć roku nie wychodziłem z łóżka; a gdym wyzdrowiał, i gdy mi równie świat, jak i przeszłość (niby z obłoków spadłe) znowu na pamięć przyszły; byłem tak obojętnym i tak oziębłym na wszystko, jakby mi dotąd nic się nie wydarzyło, i jakbym całą moję utracił czułość.

Tymczasem przez nagłą śmierć ojca mojego i przez długo-trwającą chorobę, interesa domu popadły w niejaki nieład; co także było dla mnie szczęściem, albowiem wypadek takowy dał mi wiele do czynienia, a tém samém, miałem rozrywkę.— Jednakże w ciągu jednego roku, wszystko zostało do dawnego porządku doprowadzone, a ja panem mojego domu. A skoro czarna krepa z ramion i kapelusza ustąpiła, poczęli stryjowie, ciotki i wujenki zbliżali się do mnie z planami ożenienia. Takowe usiłowania stryjów i ciotek bywają tak nieuniknionemi skutkami działania natury, jak urodzenie i smierć. Ja z mojéj strony dozwoliłem wolnego biegu usiłowaniom moich projektantów, i nie troskałem się bynajmniéj ani ich radami, ani czynnościami. Kiedy czas przyjdzie (pomyślałem sobie) to jedna grzeczna panienka tyle sprawi sama, ile żaden stryj, ani ciotka sprawić nie zdołają. Lecz w naszém całém mieście ani też w sąsiedztwie nie było żadnéj takiéj grzecznéj panienki.... nie, to byłaby obmowa z méj strony, takie panienki były, ale tylko snać jeszcze owa czarodziejska chwila nie nadeszła! Wszelakoż częste w tym punkcie zapytywania i odpowiedzi przywiodły mnie do zastanowienia się nad sobą. Poznałem to rzeczywiście, żem bolał na samotność, i że mi czegoś nie dostawało. Mój dom od czasu smierci mojego ojca stał się prawdziwą pustynią, a przecież po między dziesięcio-tysiącami panienek, które widziałem, nie upatrzyłem ani jednéj takowéj, z którąbym moje pustelnictwo chciał podzielić. —W tém nie wiém jakim sposobem przyszła mi na myśl dawno już zapomniana historyja mego bawienia w Wiédniu, a przytém naturalnie i piękna panna de Tarnau. Szczęściem przecież, że sam jeden w pokoju znajdowałem się, ponieważ (jak się mnie zdawało) na to spomnienie cały w ogniu stanąłem; to przynajmniéj pewna, żem się nagle porwał z sofy, i w wielkiém poruszeniu umysłu wyciągnąłem ramiona w powietrze, jakbym ten boski obraz chciał objąć. Westchnąłem — nie, nie westchnąłem, alem wykrzyknął z uczuciem radości i żalu, z uczuciem nadziei i rozpaczy: »Józefino! Józefino!« — Otóż teraz dopiéro, jak rozumiém, nadeszła była owa magiczna godzina,

a dla powiększenia mego nieszczęścia, dało mi bożyszcze snów widzieć następującej nocy b ó b na śniegu. Józefina była sama z siebie dość dla mnie piękną, ale moje zwodnicze wyobrażenia przeistoczyły ją w nadziemską, uroczą istotę. Nie chciejcie się śmiać ze mnie. Ja poszedłem do łóżka bardzo trzeźwo; ale nazajutrz wstałem upojony najsłodszą namiętnością. Od téj chwili mój dom stał się dla mnie tak czczy i pusty, jak był zapewne ów zamęt przed stworzeniem świata. Szukałem Józefiny wszędzie, widziałem ją wszędzie; wyobrażałem ją sobie to jako już moję małżonkę, to przy swéj domowéj robocie przy oknie, to przy klawikorcie, a ja za nią przysłuchiwający się; to obok mnie śniadającą przy małym stoliku. Wszystkie jéj nieporównane wdzięki, jéj uśmiech, jéj spojrzenia, jéj głos najprzyjemniejszy, przedstawiały się w mym umyśle coraz doskonalszémi i piękniejszémi! Sam sobą nie władałem; utonąłem w bezdnę moich uczuć; a kiedy nad miarę onemiż przejęty zostałem, wykrzyknąłem często z radości, często zapłakałem z żalu; a osobliwie, gdy mi to na myśl przyszło, iż mnie Józefina odrzucić może. Muszę wyznać, że mi wcale nie trudno przychodziło, czy to być wesołym, czy płakać, gdyż stałem się podobnym owemu bez zmysłów marzycielowi, który wewnętrznym tylko urojeniom poddając się, dla obecnych przedmiotów głuchym jest i ślepym. Ten stan był dla mnie samego nieznośnym! Rozporządziłem więc moje interesa, kazałem zamówić pocztowe konie, i poleciałem do Wiédnia.

Zaprzeczyć nie mogę, że w czasie podróży przychodziły mi niekiedy do głowy bardzo ważne zastanowienia. Ileżto w przeciągu szesnastu miesięcy zmian zajść mogło! Może ona kogo innego kocha. Może już jest zamężna. Ona sama sobą nie rozrządza, ile że jeszcze jest bardzo młoda. Ona ma rodziców i krewnych, a tych widoki może niekoniecznie z naszemi są zgodne. Ona może jest wysokiego urodzenia. Jednak przypominałem sobie także nasze pod ówczas przyjazne związki; pocieszałem się przyzwaniem na pamięć owéj bladości twarzy, owych zapłakanych oczu, i owego czułego, chociaż niby nie umyślnie ściśnienia ręki. Z tego układałem sobie przekonanie o Józefiny dla mnie czułości, a co większa, uważałem to za dowód jéj nie wątpliwéj ku mnie miłości, mimo to, że podobne pozory, możnaby także inaczéj tłumaczyć; ale dla odwrócenia rozpaczy, należało sobie tak pochlebiać, tém się uspokajać, iż pannie de Tarnau nie byłem obojętny. Lepiéj śmierć, niż bez niéj życie; przekładałem szaleństwo w uszczęśliwieniu, nad rozum w rozpaczy!

Z takowemi myślami, i z takiemi układami przybyłem powtórnie do Wiédnia. Wtenczas dopiéro, gdym już z daleka wieże tego miasta ujrzał, przyszło mi na mysl, żem wszystkie prawie okoliczności w drodze rozważył, wyjąwszy tylko tę jedne: że Józefina przed rokiem była w Wiédniu równie jak i ja sam, obcą, i że bardzo trudno, aby tamże jeszcze zostawała.

* * *

Jak się mnie ta moja bytność w Wiédniu powiodła, jużem to na początku opowiedział. Panna de T a r n a u zniknęła. Dom gościnny miał już innego pana, i żaden żywy człowiek nie znajdował się, któryby mi w tém zdrową dał radę. Wszyscy znajomi nie więcéj ode mnie wiedzieli, dokądby odjechała. Dla dogodzenia mi, pisano do Augsburga, zkąd ona, czy raczéj jéj ciotka, weksło i listy zalecające miała; ale tymczasem korrespondent augsburski umarł, a jego dziedzice, nie umieli najmniéjszéj dać mi wiadomości o pannie de T a r n a u. Słowem, byłem rozpaczający, a najbardziéj gniéwałem się sam na siebie. Albożto nie moja własna była wina, że podczas poprzedniczéj mojéj w Wiédniu bytności, tak byłem opieszały i obojętny, żem zaniedbał wywiedzieć się o tém wszystkiém, co się tyczyło jéj familii i miejsca pomieszkania? To prawda, że pod ten czas o tém ani pomyślałem: iż się w pięć kwartałów później, na zabój w niéj zakocham!

Co moim żalom i zmartwieniom ulgę robiło, i co moję gwałtowną miłość tém więcéj rozżarzało, były jéj pokoje, w których teraz mieszkałem. Znalazłem w nich też same meble, toż samo krzesło, w którém zwyczajnie siadywała; tenże sam stół, na którym pisywała, zgoła, cała przeszłość stawiała się obecną moim oczom tak dalece, że często nagle z mego krzesła zrywałem się, skoro tylko jakowy szmer około drzwi dał się słyszeć, bo myślałem, że to ona ma wejść z swoją ciotką! Wewnątrz pokojów nic nie puściłem bez przeglądu, miałem bowiem zawsze jakąś nadzieję, znaleźć jakowe bądź o niéj poszlaki; może dwadzieścia razy na dzień, oglądałem ściany od dołu aż do powały, czy pomiędzy napisami różnych podróżujących, na jéj imię nie natrafię, i jakiéj wiadomości o jéj ojczyznie nie powezmę. Wszystko było nadaremnie!

Rzecz szczególniejsza — chociaż bardzo mało znacząca — że zaraz piérwszego dnia, gdym się do tego pokoju wprowadził, znalazłem w szufladce stolika — ale nie chciejcie się śmiać ze mnie! piękny, brunatny, śklący się b ó b. Wiadomo, jak dalece ten owoc stał się dla mnie tajemnicą świętą; a teraz znalazłem go w izbie Józefiny! Wyjąłem go z chciwością; a gdym już zupełnie stracił nadzieję znalezienia kiedyś w mém życiu mojéj ulubionéj; zaniosłem ten bób do jubilera; kazałem go oprawić w złoto, tak, abym go mógł na jedwabnym sznurku na mojéj piersi nosić, a

to dla pamiątki téj najmilszéj osoby z płci swojéj, i dla ustawicznego przypominania sobie mojéj tragicznéj miłości. — Tak tedy rozstałem się z Wiédniem. Miałem się za najnieszczęśliwszego i bez pocieszenia. Poprzysiągłem w duchu, nigdy się nie żenić. Ach, czegożto człowiek przez prędkość nie przysięgnie!

* * *

Przybywszy do ojczystego miasteczka, żyłem jakby wdowiec. Wszystkie dziewczęta zdawały mi się nieznośnemi, nieokrzesanemi, i zwyczajnemi. Zagrzebałem się w moich zatrudnieniach, i rozrywałem się azardownemi przedsiębierstwami. Nie bywałem w żadnych towarzystwach i od nich umyślnie stroniłem. Jedynie tylko obraz Józefiny ni ów pocieszający anioł, stał przed mojemi oczyma; a bób zawieszony na moich piersiach, był dla mnie tak miłą relikwiją, jakbym ten klejnot z własnych jéj rąk był otrzymał. Nie zazdrośćcie nieszczęśliwemu jego słodkich marzeń! Nakoniec wmówiłem w siebie, iż piękna de Tarnau sama umyślnie ten bób w szufladkę stolika włożyła. Podobne, przyjemne marzenia są częstokroć tak dobre jak i filozofija, przez którąby człowiek chciał być szczęśliwym.

Moja powierzchowność nie była zapewnie wiele szczęśliwości obiecującą; wszyscy albowiem okrzyczeli mię za melancholika, za niebezpiecznie chorego. Stryjaszkowie i ciotunie niepokoili mię prośbami, zapraszaniami, rozrywkami, a nawet lékarzy nasyłano do mojego domu; ale to wszystko ani mnie, ani im się na nic nie przydało.

Aby się jednak uwolnić od naprzykrzonych natrętników, i pokazać im, że jestem jeszcze jak i inni ludzie na świecie, musiałem niekiedy w tygodniu choć raz odwiédzić wieczorne posiedzenia moich przyjaciół. Tym sposobem, jednego razu przyjąłem zaproszenie p. Hildebranda, radcy sprawiedliwości. Teraz dopiéro dowiécie się o najciekawszéj katastrofie mojego życia.

* * *

Ponieważ mnie niektóre interesa za długo w domu zatrzymały, wyjechałem cokolwiek za późno do radcy Hildebranda, gdzie zastałem już zgromadzonych gości. Wszyscy prawie byli mi znajomi, wyjąwszy tylko jednego, który był mi przedstawiony jako podpułkownik w służbie rossyjskiéj, a od cztérech dopiéro miesięcy posiadacz włości o półtoréj mili drogi od naszego miasta. Ja na to wszystko mało zważałem, a uczyniwszy zadość grzeczności skinieniem głowy i położywszy na bok kapelusz, usiadłem. Wszczęto rozmowę, tém lepiéj dla mnie, który nie miałem wielkiéj ochoty do mówienia.

Rossyjski podpułkownik, wysoki i silny mężczyzna, przyjemnéj, i poszanowanie wzbudzającéj postaci, już przeszło sześćdziesięcioletni, jednak pełen ognia, najwięcéj zwracał moję uwagę. Miał on orderową wstążkę u guzika na piersi, a na czole i twarzy kilka blizn dość dużych. Głos jego był donośny i rozkazujący; było poznać po nim, że przywykł do komenderowania. Mówił o Persyi i o Multanach, gdzie się na wojennych wyprawach znajdował; radzi go wszyscy opowiadającego słuchali, i on też dobrze opowiadać umiał.

Po wieczerzy kazał radca poncz roznosić, przez co zabawa stała się tém żywszą. Stary oficer rozprawiał o jednéj potyczce, w któréj dostawszy postrzał w piersi, z konia zleciał, i przez Turków pojmanym został. W zapale opowiadania, chcąc pokazać bliznę na piersiach, rozpiął pokwapno kamizelkę, a natenczas spostrzegliśmy, że miał jakąś złotą puszeczkę, na jedwabnym sznurku. On sam wyciągnął ją na wiérzch i zawołał: »Wszystko mi zabrali okrutni janczarowie, ten tylko jeden klejnot, najdroższy z całego mojego majątku, uratowałem!" Naturalnie każdy rozumiał, że to był albo dyjament szczególnéj wielkości, albo też perła ogromnego szacunku, zdobycz ze wschodu. »Ach nie!« rzekł podpułkownik: »to jest tylko b ó b!« »B ó b?« krzyknęli wszyscy. Ja zaś cały ogniem spłonąłem, albo też może jak trup pobladłem, lub też byłem na przemiany jedno i drugie; gdyż z przestrachu straciłem przytomność. »Jak mógł ten człowiek przyjść do bobu« pomyślałem sobie: »zkąd mu przyszło kazać bób w złoto oprawić i nosić go za relikwiję na piersiach, podobnie jak ja?« — Niech się każdy w mojém położeniu postawi i osądzi, co się ze mną działo. Radbym był z duszy dowiedzieć się przyczyny, dla któréj on bób na piersiach nosił, alem słowa przemówić niezdołał. Wychyliłem całą szklankę ponczu, abym się ośmielił do zapytania, ale nim się do tego zabrałem, już się pytania ze wszech strón ozwały.

»Ja wam to chętnie opowiém, »odrzekł oficer, nakładając sobie fajkę; ale się obawiam znudzić was moją gadaniną; dla tego zróbcie to, co ja robię: ponakładajcie sobie moi panowie także fajki.« — Każdy był temu posłuszny, nawet i ja, choć nigdy tytuniu nie paliłem; przyłożyłem do ust zimną fajkę, jedynie z obawy, aby pułkownik ujrzawszy mnie bez ukochanego instrumentu, nie zaniedbał opowiadania swego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAPOLEON NA POLOWANIU.

Napoleon nie był na polowaniu ani szczęśliwym, ani zręcznym: to strzelba spaliła mu na panewce; to mierzył do dzika, a trafił w łytkę którego ze strzelców; raz znowu marszałek Massena i Berthier szli naprzód tuż przed Napoleonem, gdy stado kuropatw wzleciało; zaszczyt pierwszego strzału przynależał cesarzowi; Napoleon strzelił i Massenę szrótem w oko raził. Pospieszo-

no w pomoc, a Napoleon zawołał: »Berthier, wćpan raniłeś Massenę.« Wielki łowczy zaprzeczał temu obwinieniu, cesarz obstawał przy swojém, Berthier zamilkł, i wszyscy w bardzo złym humorze powrócili do domu. Napoleon przybywszy do Malmaison, kazał przywołać adjutanta służbowego i rzekł doń: »Jedź wćpan natychmiast do Paryża i powiédz doktorowi Larrey, by niezwłocznie do Ruel się udał, ponieważ Massena chory i niech mu list ten odda.« Rozkaz ten wykonano; Larrey przybył do Ruel i rzekł: »Mości marszałku, cesarz dał mi znać, że wćpan chorym jesteś, pospieszyłem przeto ...«

—Wié on dobrze o mojéj chorobie: oto patrz wćpan.«—

—»Niéma niebezpieczeństwa mości marszałku; tylko zdaje mi się oko wiele ucierpieć musiało.«

—»Czy stracę je?«— »Nie powiadam tego, lecz należy nam bardzo ostrożnie brać się do kuracyi. Ale zapomniałem oddać wćpanu ten list od Jcmości.«

—»Czytaj go kochany Larrey, ja nie widzę—.«

Larrey rozpieczętował list i czytał: »Mój kuzynie, skoro wćpana zdrowie pozwoli, odjedziesz dla objęcia naczelnego dowództwa w Portugalii. Aż dotąd upraszam Boga, by wziął wćpana pod swoję świętą opiekę. Napoleon.«— Ach! »zawołał Massena, mogący zaledwo ukryć radość swoję.« Wié on zawsze czém komu oczy zamydlić.«

—Z téjto przyczyny stracił Massena oko, a otrzymał naczelne dowództwo w Portugalii.

— Ze Lwowa. —

Mnemozyna doniosła mylnie swoim czytelnikom, a za nią powtórzyły dzienniki krajowe i zagraniczne, że ja przekładam »Gryzeldis« trajedyję Fryderyka Halma. Niechcąc dłuższém milczeniem przywłaszczać sobie zalet, jakieby bezimienne téj trajedyi przekłady miéć mogły, ani też ich wad podzielać, oświadczam, że się do tej pracy nigdy nie zabierałem, i pewno niezabiorę. *Augustyn Bielowski.*

W uniwersytecie lwowskim, noszącym nazwisko ś. p. N. Cesarza Franciszka I., na rok szkolny z 1836 na 1837, zapisało się uczniów w wydziale teologii: na piérwszym roku 182, na drugim 97, na trzecim 132, na czwartym roku 135, razem 546.— W wydziale prawa: na piérwszym roku 111, na drugim r. 70, na trzecim 66, na czwartym roku 55, razem 302.— W wydziale medyczno-chyrurgicznym: na piérwszym roku 56, na drugim r. 29, na trzecim 30, razem 115.— W wydziale filozoficznym: na piérwszym roku 237, na drugim r. 156, razem 393.— Ogółem więc jest uczniów w uniwersytecie lwowskim na rok szkolny 1836—1837: 1,356.— Lékarzy praktykujących jest obecnie we Lwowie 39. (*Taschenbuch der Universitat zu Lemberg für das Jahr* 1837 *v. J. M. Retzbach, k. k. Pedell.*)

Wiadomości literackie. Do ważniejszych płodów literatury polskiéj czasów naszych, mianowicie literatury peryjodycznéj, należą niezawodnie wydawane w Wilnie: Wizerunki i roztrząsania naukowe, wychodzące w nowym poczecie. O dawniejszych tomikach dzieła tego jużeśmy w swoim czasie spominali, oddając im zasłużone pochwały. Nowy poczet jest również zajmujący, również gruntownie czystym językiem polskim pisany. Mieści bądź oryginalne, bądź z najlepszych nowoczesnych źródeł przekładane, najwięcéj ściśle naukowe artykuły, także zdania o dziełach, mianowicie w Wilnie drukowanych, i różne tak naukowe, jakoteż artystyczne wiadomości. Przy teraźniejszym braku pism krytycznych w języku naszym, »Wizerunki« choć w części niedostatkowi temu zapobiegając, są pożądaném na widokręgu literatury polskiéj zjawiskiem, wyrywając z otchłani zapomnienia wiele dzieł ważnych, godnych być powszechniéj znanemi. Ograniczamy się na wyliczeniu przedmiotów, zapełniających nowy poczet »Wizerunków.« Tomik drugi: 1) O stanie politycznym i religijnym pogan i Żydów w czasie przyjścia na świat Jezusa Chrystusa; rozprawa X. Fiałkowskiego. 2) Beethowen z *Musical Repertory*. Rozmaitości: *a)* Zubr, tur. *b)* Główniejsze zasady ekonomii przemysłowéj z P. H. Suzanne, przekład Jana Waszkiewicza (Wilno 1836.) *c)* Nauka utrzymywania i ulepszenia zwiérząt domowych p. A. F. Adamowicza. (Wilno 1836.) *d)* Zdania na doświadczeniu życia ugruntowane.— Tomik trzeci: 1) Algier. 2) Washington Irwing z *Amer. Monthly Magazyne*. Rozmaitości: *a)* Wiadomość o galeryi obrazów hrabiego Mniszcha w Wiszniowcu. *b)* Literatura zagraniczna sławiańskich dyalektów. *c)* Sztycharstwo francuzkie. *d)* Introligatorstwo. *e)* Bibliografia dawna polska.

Hrabia Atanazy Raczyński wyjechał z Mnichowa do Włoch, celem wydania 2go tomu swojéj historyi kunsztów, mającego zawiérać 150 pięknych drzeworytów.

Dnia 16. grudnia r. z. umarł w zamku Swedestory, nie daleko Nenndorfu, podpułkownik w służbie heskiéj, K. Klodowig A. H. baron Münchhausen, znany i ceniony niegdyś jako poeta niemiecki, oraz dowcipny autor w mowie potocznéj. Wydał między innemi z przyjacielem swoim Seume »Przypomnienia« (Ameryki), a z Gräterem »Noworocznik.« Miejscem urodzenia jego był Oldendorf w Schaumburskiém, d. 11. lutego 1759.

Miss Elżbiéta Wright Macauley, niegdyś aktorka i poetka dramatyczna, potém kaznodziejka w zborze metodystów w Londynie, w końcu znowu aktorka, umarła nagle w Nowym-Jorku w 52 roku życia. Ta zagorzała niewiasta doświadczała sił swoich we wszystkich prawie gałęziach nauk; czas długi dawała publiczne odczyty o botanice, frenologii, o gospodarstwie wiejskiém i o innych najrozmaitszych w świecie przedmiotach.

Panna Taglioni zgodzoną została od dnia 1. października r. b. dla cesarsko-francuzkiego teatru w Petersburgu. Nie wiadomo jeszcze pod jakiemi warunkami, ale te na każdy sposób muszą być bardzo świetne, kiedy Petersburg z Neapolem ubiegał się o piérwszeństwo dostania téj tancerki, kiedy w Londynie zapłacono jéj za trzy miesiące 150,000 fr., a nawet spekulacyjna Ameryka ofiarowała rocznie 350,000 fr.

Donoszą z Rzymu, że Cornelio Scipione Gagliani, uczony Benedyktyn, w podróży swojéj pod względem starożytności, odkrył w klasztorze koło Bastyi kilka ksiąg Liwiusza dziejów rzymskich, mianych dotąd za stracone, a które wybornie łączą się ze znanemi księgami tegoż dziejopisarza, jako dodatek do rękopisma Salustyusza, dość dobrze na pargaminie przechowanego: Gagliani przyobiecuje wydać wkrótce dla uczonego świata te nowo odkryte księgi Liwiusza, skoro je tylko przepisać każe i ile możności wyczyści.

Dziennik *Paix* obliczył, że w ostatnich dwóch miesiącach chorowało w Paryżu na chrypkę (grypę) 600,000 ludzi, a ci w ogóle odwiédzeni byli przez lékarzy przynajmniéj 1,500,000 razy, co licząc w przecięciu za jednę wizytę 3 fr., wynosi summę 4,500,000 fr., którą rozdzieliwszy po między 1,000 lékarzy (tyle ich jest w Paryżu), na każdego przypadnie 4,600 fr., które z łaski chrypki otrzymał.

Przed dwunastą laty, w jednéj ze stolic w Niemczech, skradziono dom cały. Łotry rozebrali na materyjał zabudowanie stojące na odległéj i pustéj ulicy, tak, iż gdy jego właściciel za kilka dni przyszedł dowiedzieć się o swoję nieruchomość, z wielkiém podziwie-

niem spostrzegł, że ta nieruchomość stała się nagle ruchomą i gdzieś powędrowała, nie zostawiwszy po sobie ani śladu.

Nie dawno przybył do Konstantynopola amerykańskí lekarz, który utrzymuje, że odkrył lekarstwo na zarazę morową i że jest w stanie dalszemu jéj pojawianiu się zapobiedz. Wysoka Porta dała mu pozwolenie doświadczenia tego odkrycia w jednym ze szpitalów polowych; wszyscy są bardzo ciekawi skutków, lubo temu nie ze wszystkiem dają wiarę.

Fabryka braci Piette w Dillingen nad Saarą, robienie ze słomy papieru do pakowania, tudzież pakuły, doprowadziła do doskonałości, jakiej się niespodziewano. Od d. 1. listopada r. z. przerobiono 900 cetnarów słomy, która wydała 524 cetn. papieru do pakowania, a 140 cet. pakuły jak najlepszego gatunku.

Od r. 1772, istnie w Londynie społeczeństwo, które skromnem działaniem swojém tysiącom rodzin szczęście i zbawienie przyniosło. Jestto społeczność do oswobodzenia osób, uwięzionych za małe długi. Od d. 4. stycznia do 1. lutego r. b. towarzystwo to wyswobodziło z więzień Anglii i Walii 109 małych dłużników, wydawszy na to 666 funtów szterl. Prezydentem onegoż jest hrabia Romney, wice-prezydentami Sir R. Peel, i Sir F. Burdett. Ostatni zapisał temu dobroczynnemu związkowi dochody od 1000 funt. sterl. po 3 od 100 uprocentowanych.

Pewien podróżnik angielski przywiózł do Londynu mnóstwo swiecących owadów, odkrytych nie dawno w Indyjach wschodnich. Tak mocne wydają światło, że służyć mogą za żywe lampy. Towarzystwo zoologiczne w Londynie, któremu kilka tych zwierzątek do rozpoznania przesłano, zajmuje się obecnie zbadaniem sposobu, mogącego doprowadzić do aklimatyzowania tychże w Europie. Z postaci są bardzo do koników polnych podobne.

Kapitan Cochrane, odbywający nie dawno pieszą podróż do Syberyi, był tak wszędzie gościnnie przyjmowany, że z Moskwy do Irkucka, na przestrzeni 6000 mil angielskich, tylko jednę gwineę wydał.

Przytaczamy następujący koniec afiszu z teatru *Cincynati*, (w Ameryce), w którym aktorka Kar ogłasza sztuki mającc być na jej benefis danemi: »Oprócz sztuk tu wyliczonych, będzie wielka scena gospodarcza, szczególniéj dla rzemieślników *Indyany, Ohio* i *Kentuky*, w której się wystawi na widok publiczny wybornego prosiaka i cielę doskonałe, mające się wylosować. Pani Kar w kostiumie Plutusa sama losy wyciągnie. Nadmienia się, iż niema żadnej obawy przed cielęciem, w chwili gdy będzie od krowy odłączone!« Szczęśliwa Ameryka, iż za bilet do teatru można jeszcze wygrać cielę lub prosiaka.

W *nowéj południowéj Walii* stara Panna ma być równie rzadkiém zjawiskiem jak czarny łabędź. Zapewniają nawet, że kobiéty przybywające z Anglii, jeszcze przed wylądowaniem z okrętu otrzymują już oświadczenia przez trąby. Stare panny spieszcie więc do Nowej południowéj *Walii*!

Wiadomo że prowincyje Ebensi i Chansi mieszczą najbogatszych mieszkańców Chin. Utrzymują nawet, że wielu z nich ma całe stosy srebra. Główniejsi kapitaliści Kantonu pochodzą z tych prowincyj. W ostatnich latach panowania *Kiakinga*, żyła wdowa nazwiskiem *Zehon*, w powiecie Tai-Jansu wraz ze swoim synem, który się odznaczał przez szczególny i niedorzeczny sposób postępowania. Nadzwyczaj lubił szachy, lecz zbrzydziwszy sobie używanie figur drewnianych lub papierowych, które mu się zdawały zbyt pospolitemi, powziął szczytną myśl kazać sobie wymałować posadzkę w kształcie szachownicy; a zamiast pieszków, skakunów, biegunów, wież, królowéj i króla, używać ładnych kobiet, odzianych rozmaitémi kolorami. Gdy jaki kamień, czyli raczéj jaka dama została zabitą, wówczas oddalała się bocznémi drzwiami. Cesarz chiński dowiedziawszy się o téj oryginalności swojego poddanego i rozgniewany o to, że używał niewolnic do szachów, skazał go na 25,000,000 fr., i wygnał na zawsze do kraju Mandszus, nad brzegami rzeki Heloung (rzeki miłości); dawszy mu poznać, iż powinien być wdzięczny, że szachownicy jego krwią nie zbroczył.

Arabowie we wszystkiem się sprzeciwiają naszym zwyczajom. 1) Arab staje w strzemionach na prawej nodze i dopiero lewą wsiada na siodło. 2) Pisze z prawéj ręki ku lewéj. 3) Szablę nosi stroną wklęsłą na przód. 4) Ucina włosy na głowie, a brodę zostawia. 5) Zamiast krzesła, siada na nogach. 6) Chleb je kiedy jeszcze jest gorący, dopiéro z pieca wyjęty, mięso gdy ostygło, a rosół na końcu obiadu. 7) Wchodząc do pokoju my zdejmujemy kapelusz, oni zaś trzewiki. 8) Nasze kobiety piorą bieliznę rękoma, zaś arabskie tak długo ją biją nogami, póki się zupełnie nie wyczyści.

Prawdziwa wymowa. Na ulicy spotkałem żebraka pogrążonego w nędzy; cicho około mnie przeszedł, nie wymówiwszy ani słowa o jałmużnę. Przejęty litością, zadaję mu pytanie: »Czemuż nie żebrzesz przyjacielu?« Alboż nie dosyć powiedziałem!— »Jak to, wszakżeś ani ust nie otworzył?« O tak! Czyliż nie żebrzą dla mnie te nagie kości, świecące z po za rozdartych łachmanów! czyliż nie żebrze to zapadłe oko, te wychudłe i znędzniałe lica, czyliż nie żebrze to drżenie całego mnie przejmujące, czyliż nie żebrze ta siwa i obnażona głowa, czyliż nareszcie ten cały widok mego ubóstwa nie przemawia o litość! Wzruszony, udzieliłem sowitego wsparcia biednemu starcowi. To była prawdziwa wymowa!

Anegdota. Pewnemu z woźnych sądu wexlowego w Paryżu zdarzył się na jednym z tegorocznych balów następujący nieprzyjemny przypadek. Woźny ten jest szczęśliwym małżonkiem bardzo ładnej i zgrabnej kobietki, której czasami także do działań używa, gdy idzie o schwytanie jakiej ważnéj osoby. Od kilku dni śledził pewnego przystojnego i młodego mężczyznę, którego miał rozkaz ująć za długi, a który dotąd zawsze się mu wywinąć potrafił. Młody dłużnik przechadzał się bez najmniejszej obawy po balu w gmachu opery, gdy zbliża się do niego bardzo ładna ze śliczną figurką maska i kokietować go zaczyna. Byłato żona woźnego, do której rzekł małżonek: »Zatrzymaj go aż do rana; daj się zaprowadzić do angielskiej kawiarni na wieczerzę, a ja, jak tylko słońce zejdzie, przyjdę tam po niego z moimi ludźmi.« Parka ta chodząc tak z sobą kilka godzin po sali balowej i rozmawiając poufale, udaje się nakoniec do angielskiéj kawiarni, a oczarowany urokiem maseczki dłużnik, o wexlach, woźnych, zgoła o całym świecie zapomina. Już było późno w nocy, gdy jeden z przyjaciół przestrzegł zachwyconego młodego człowieka. Napomnienie to strąciło go z nieba uniesień; zjadłszy smacznie z piękną maseczką wieczerzę, udaje, że idzie płacić posługaczowi, tym czasem zaledwo za drzwi się wychylił, ucieka i nie pokazuje się więcej w kawiarni. Z rana woźny z żandarmami przychodzi więzić dłużnika, ale z największém zadziwieniem swojem zastaje tylko żonę swoję, którą w kawiarni w zastaw zatrzymano, i musiał jeszcze za spożytą dość kosztowną wieczerzę zapłacić.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*